Rok 1894. We Lwowie Poniedziałek dnia 8 Października Nr. 39.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Z tobą idziemy i iść chcemy.

Choć niebo szare, ciemne chmurzyska,
Choć serce krwawi i boli,
Choć gromy biją i piorun błyska —
Idziem w niewoli...

Nas nie ustraszy ni topór wroga,
Ni też szyderstwo ubodzie;
Ze łzą stajemy, lecz w obec Boga —
Idziem o głodzie...

Nie wasze usta, nie nasza ręka,
Może pokalać się w brudzie;
Czystą i świętą jest nasza męka —
Idziemy w trudzie...

I choć nam bryzną w oczy bluźnierstwem
I walczą gwałtem, podłością —
My im nie rzucim niskiem szyderstwem,
Idziemy z godnością!..

Nas nie rozgromi klątwa wszechświata,
Nas nie pokłócą padalce;
Silni jednością, w wieczności lata
Idziem w walce...

I z tymi tylko i z tym jedynie,
Co miewał sny naszych marzeń,
Co błogosławił cnocie i winie —
Idziem śród zdarzeń...

I w ciągłym znoju i krwawy boju,
Niebaczni na krew i ciernie —
Idziem wytrwale, idziemy stale,
Idziemy wiernie..

I choć się dziwią i huczą burzą,
Przewódcy wrogów omylni —
I chociaż wieki złego im wtórzą —
Idziemy silni..

Idziem i pójdziem na świata krańce,
Jako powstańcy prawdziwi;
Praw i oświaty wzniesiem kagańce —
Iść chcemy żywi...

Żywi iść chcemy, choćby z nadzieją,
Żeśmy do życia walk zdolni —
I z naszych zwycięstw, z dziejów koleją
Iść chcemy wolni...

Lecz z tobą tylko, z tobą jedynie,
Co nasze kochasz — znasz — cele;
Chcemy iść razem — nim wiek przeminie,
Iść... Stać na czele...

Nie-Marjan.

Zmierzch, czy światło.

(Urywek z powieści pt. Bramini)

Mrok był na ziemi — na niebie ostatnie dnia błyski.

Czerwona słońca tarcza schowała się za góry; w ślad za nią przeleciał herold nocy wiatr ostry, zimowy i spędzał zwierza w gąszcze leśne i ptaka w liściaste drzew baldachimy.

Z szuwarów nadbrzeżnych jeziora grała cicha komarów i żab kapela.

Z dala z wysepek sitowia huczał donośny bas bąka.

Na wschodzie srebrnieć począł gór wierzchołek, księżyc wyjrzał nieśmiało i wysunął się wreszcie cały.

W kląmbie ogrodu należącego do szpitalu warjatów siedziałem z biednym chorym mym przyjacielem.

Patrzałem z bolem na twarz jego bladą, na oczy zamglone i znowu rozświecane fosforycznymi błyskami.

Jakże go innym znałem kiedyś.

Powrócił wtedy z Indji wchodnich. Powrócił młody i piękny. wiozące skarby wiedzy starożytnych mędrców z nad Gangu „świętego" W rok później wyszli jego „Fakirzy" dzieło, które go wyniosło na katedrę wszechnicy.

Pamiętam, jakie tłumy gromadził jego wykład. Przemawiał opromieniony blaskiem sławy, w zachwyt wprowadzając zasłuchanych w dźwięki jego słowa.

A dzisiaj!

Zepsuło się coś w jego mózgu, zepsuło się któreś kółeczko w tem tajemniczem, urokiem osłoniętem narzędziu: godzinami całemi siedział z załamanemi rękoma i patrzył bezmyślnie na otoczenie swoje, nic nie widząc; potem wpadał w podniecenia nienaturalne, wzrok iskry rzucał, z ust płynąć poczynały potoki słów, przerzucał się z przedmiotu na przedmiot, aż wyczerpany, znużony usypiał lub omdlewał.

Dziś więcej był podniecony niż zazwyczaj,

czułem że mówić będzie i bałem się tego. Wziąłem go za rękę: Chodź już, prosiłem, robi się chłodno, zaziębisz się.

— Chłodno? Może, ale nie mnie. Mnie ogień pali — wulkan mam w piersi — żar w mózgu.

Uspokajałem go — przedstawiałem, że nie ma celu pozostawać tu dłużej.

Rzucił się.

— O celu mówisz? Jakiego celu? Czyś widział cel gdziekolwiek? Chybaś ślepy — patrzeć chyba nie chcesz. Mrzonki trzymają się twej głowy.

Usiadłem nie chcąc go drażnić, ale już było zapóźno. Podłożyłem mimowoli iskrę pod minę gotową do wybuchu.

— Gdybyś raz jeden znalazł się wśród dziewiczego lasu pod zwrotnikiem, zaczął i zechciał się przypatrzyć, jakie cele ma przyroda, nie postałby ci w ustach ten wyraz.

Tyś tam nie był, ale byłem ja.

Patrz!

W górze splątane gałęzie drzew, zielone sklepienie przez które tu i ówdzie przedziera się promyk złotego słońca, niżej pnie rozbujałe, zarośle, wznoszące się ku życiodajnej gwieździe, toczące bój wiekowy miedzy sobą, gniotące się przygłuszające i nawzajem przygłuszanee swymi sąsiadami. Z jednych kora opada; obnażone ciało rośliny daremnie ratuje się wydzielaniem płynu, coby ranę zagoił — wróg co zagnieździł się zbyt silnie tkwi, by go zniszczyć było można. Drugie leżą już powalone, obumarłe, śmiercią swą darząc istoty, które życia pragną. A niżej gąszcz nieprzebyty, tama uwita z paproci, lian, kaktusów, wijców, powoi. Jedne żyć poczynają szukając szparki, którędyby na świat wyjrzeć mogły, drugie wydobyły się wysoko, trzecie śpią snem wiecznym. Ciche to państwo — chyba gdy wiatr zawieje, poczyna szeptać niezrozumiałymi słowy. Wrosłe w ziemię, przykute do podsieliska na którem powstały, nie zmieniają swego półcienia, chyba wiatr wyrwie im iskierkę życiową, to drobne ziarnko nasienia, tę komórkę twórczą, z którejby nowe, a takie same wytworzyły się jednostki.

Ale oto w ciszy cmentarnej tego królestwa rośliny słychać głos, a na to hasło drugi i setny. Zakotłowało w drzew wierzchołkach. Gromada strojnych papug nadleciała. Z cmentarza cyrkowa powstaje arena, Z pośród zielonych liści błyszczy czarnych oczu para; małe zwierzątko w postaci kuny biegnie po gałęzi, staje, rozgląda się, znów idzie, już coraz bliżej gadatliwej gromady, jeden skok i sypią się pióra; gromada poszła dalej, tylko jedna zielona papużka została w ostrych zębach swego nieprzyjaciela.

I znów cisza.

Wśród paproci pełza cicho czarny jadowity wąż, prześlizguje się wilgotną piersią pośród gąszczu, rozgląda dokoła, czasem podniesie górne zwoje do góry — otwarłszy paszczę ujmie ślimaka do łodygi przyczepionego lub gąsienicę rozkoszującą się słodyczą owocu i idzie dalej. Idzie nie wiedząc, że tuż za nim posuwa się zwierzątko chude i nędzne z jarzącemi się ślepiami — mungo. A mungo coraz bliżej, już tylko krok go oddziela, już siedzi na grzbiecie czarnego płazu, zatapia zęby w jego kość pacierzową, przerywa ją z nią zaś i życie.

Tragedja życiowa nie obeszła się bez świadków, z drzew pozwieszały się małpy miunkami zwane, kołyszą się na długich ogonach i wyją z rozkoszy widowiska. Jedna porwała banan jabłko, druga złamała konar, posypały się razy no i mungo musiał uciekać, zostawiając innym swe łupy.

A życie idzie dalej bez wytchnienia.

(Dokończenie nastąpi.)

Malarstwo w XIX-tym wieku

(Dokończenie).

I przyszedł Manet i rozwiazał zagadkę, w jaki sposób można na obrazie i szczerym być zupełnie, a jednak zarazem i harmonię kolorystyczną na nim osiągnąć. Wynalazł on łącznik dla najrozmaitszych sprzeczności lokalnych tonów — łącznikiem tym jest powietrze. Na miejsce brutalności samowolnych, na miejsce surowizn szczerych, ale nie wystarczających wystąpiły zalewające obraz cały promienie słoneczne, opłynęły obraz cały promienie genialne — powietrze i oto po stu latach walki i rozwoju wydało nareszcie malarstwo obrazy, będące dzięki tej właśnie harmonji swojej alfą i omegą sztuki malarskiej.

Rozmaitość zastąpiła jednostajność, indywidualizm zastąpił szkołę, najśmielszy subjektywizm wywarł pseudo-idealne, szablonowe wytwory.

Zwarły się ze sobą szeregi młodych w pełnem słowa znaczeniu modernistów, zwarły się w grupę, spojoną wspólną cechą: wyparciem się wszelkiego zgoła naśladownictwa.

Od historycznego i rodzajowego malarstwa do — właściwej sztuki malarskiej, od naśladownictwa stylów do własnych na przyrodę poglądów, od antyku do życia, od abstrakcji do charakterów, od typowości do indywidualności, z dróg epigonów na własne tory, ze szkoły do osobistych studjów na własną rękę — oto mozolna, długa, pełna jednak sławy droga, przebyta przez nowoczesne malarstwo w ciagu XIX-go stulecia.

I po takiej to drodze stąpa w dziele swojem Muther. Z rozpędem i pewnością siebie, świadczącą o doskonałem panowaniu nad ogromem materjału kroczy on naprzód, zapatrzony w ideał swój, w nowopowstały pstry impresjonizm Maneta i jego satelitów.

Żaliż istotnie szczyt to sztuki malarskiej,

ostatnie jej słowo? Odpowiedź na to da — przyszłość. Za czasów Rafaela, zdawało się światu, że szczytem sztuki malarskiej było „Przemienienie“ lub „Sykstyńska“, za czasów Watteau obwołano „Wyjazd do Cytery“ ostatniem słowem malarskiego kunsztu, potem niebyło nic nad obrazy Dawida, potem nic ponad Milleta a i tak dalej, z wieku w wiek, z gustu w gust, z wyroku w wyrok, aż i oto doczekaliśmy chwili, że na najwyższym stolcu w hierachji malarskiej wszystkich czasów i wieków zasiadł — Manet.

Tak przynajmniej ogłoszono na schyłku XIX wieku przez usta wymownego, najświeższego smaku rzecznika R. Muthera.

Zda się wiedzieć o tem. Dobrze, że rozstrzelone głosy modernistów zlały się niejako w jedno gruntowne dzieło, co poglądów tych, dziś najmodniejszych pomnikiem zostanie.

W pomnikowosci tej leży główna waga dzieła Muthera. Tuż w ślad za nią idą innej wysokie zalety, przedewszystkiem zaś wyczerpnjące, żywe, jasne rozrobienie wielkiego materjału Trzeba szerokiego znawstwa, niepośledniej, erudcyji, wytrawności sądu i pisarskiego pierwszorzędnego talentu, aby dzieło takie napisać. Można nie zgadzać się z autorem ale nie podziwiać go byłoby niesprawiedliwościa.

Zdawałoby się nadto, że Muther, zapamiętały doktryner kiereszować będzie po drodze wszystkich. co — jego zdaniem — kłody rzucali w drogę kroczącemu ku rzekomej doskonałości malarstwu.

Tak nie jest.

Czy to Fortuny, czy to Piloty, czy to Makart, bierze on ich pod ścisłą analizę, ale nie rozbija ziarn wraz ze skorupą, jeno sumiennie co dobrego w nich znajdzie podnosi i chwali.

Wielki jego przebieg sięga do najnowszych objawów malarskiej sztuki, dość powiedzieć, że szczegółowym planie dzieła, podanym w prospekcie, już figuruje na samym końcu nazwisko Fr. Stucka, któremu pewien rozgłos dała dopiero zaprzeszłoroczna wystawa monachijska! Wnosić ztąd łatwo, ile nazwisk obejmuje hisorja Muthera. A jednak, w całem dziele nie ma wymienionego nazwiska ani jednego polskiego malarza. Zgodzićby się na to można, biorąc pod uwagę, że do postawionego przez Muthera ideału malarstwo nasze nio dorzuciło cegły i że w ogólnym malarstwa rozwoju nie odegrało jeszcze wybitniejszej roli.

Ale, skoro Muther nie pomija nawet takiego, zdaniem jego wstecznika, jak Makart, dziwić się nie można, że o takim potentacie, jak Matejko, przepomniał.

W trakcie jednak pisania dzieła, Muther pierwetny plan swój rozszerza i tak oto, w skład III tomu wszedł ustęp cały, traktujący specjalnie o malarstwie ruskiem od Lewickiego do Repina ilustrowany, jak i dzieło całe, wybornemi odtworzeniami obrazów, oraz portretami. Być zatem może, iż i dla artystów naszych znajdzie się, również nagle, miejsce jakie w tym międzynarodowym malarstwa przeglądzie.

Wojciech Naprstek.

Zmarły niedawno filantrop i działacz narodowy czeski, Wojciech Naprstek, był osobistością, która grała bardzo wybitną rolę w ruchu społecznym w Czechach.

Urodził się 17 kwietnia z rodziców ubogich, a matka jego wielka ffilantropka, niewiasta nieraz wysławiana za swoją dobroczynność, często najmowała się do mycia podłóg, aby zarobić na wychowanie swoich synów, Wojciecha i Ferdynanda, którzy obadwaj wiele dobrego zrobili dla własnego społeczeństa.

Wojciech Naprstek pobierał nauki w gimnazjum staromiejskiem na Józefa Jungmanna, potem studjował filozofię w Pradze, a w r. 1847 udał się na studja prawnicze do Wiednia gdzie był zarazem wychowawcą w domu szlacheckim. Ztamtąd pisywał do „Pszczoły“ (Wczela) Hawliczaka.

W roku 1848 rozwinął działalność polityczną, głosił równouprawnienie obu płci, a przytem gotował się do podróży po Azji dla studjów orjentalnych. Wszelako po rewolucji październikowej w Wiedniu musiał uciekać do Ameryki, gdzie pracował ciężko jako wyrobnik i rzemieśnik, a przytem zapoznawał się z instytucjami Stanów zjednoczonych. Widząc się za starym do rzemiosła, założył w Milwaukee księgarnię i czytelnię z wypożyczalnią nót i starał się oddziaływać na emigrantów czeskich. Nie mogąc wrócić do Czech, pomimo, że w roku 1851 dojechał aż do Bremy, powrócił do Ameryki Znowu Milwaukee działał jako wydawca i literat, a przytem brał żywy udział w działalności politycznej. Za jego podnietą w r. 1856 uchwalono wydanie pierwszego czasopisma czeskiego w Ameryce. Naprstek był także agentem dla emigracji z Czech Niemiec i Holandji.

W r. 1857 opuścił Amerykę, bawił 3 miesiące we Francji i za pozwoleniem rządu austrjackiego wrócił do Pragi. Odtąd brał czynny udział we wszelkich pracach swego społeczeństwa. Przedewszystkiem w szeregu prelekcyi dla kobiet zaznajamiał Czeszki z wynalazkami amerykańskiemi w zakresie gospodarstwa domowego, nakłaniając je przytem, aby czas i siły oszczędzone od ciężkich trudów domowych, obracały na rozwój umysłowy i duchowy.

Na wystawie przemysłowej w Londynie w r. 1862 dał podnietę do założenia muzeum przemysłowego czeskiego i niebawem w r. 1862 i 1863 urządził sam w Pradze wystawy przemysłowe czeskie. Prowadząc razem z matką browar, który szedł bardzo dobrze, środki materjaloe obracał na cele ogólne i wkrótce ukazał się w świetle niesłychanie hojnego mecenasa narodowego. W roku 1864 partja staroczeska wybrała go na posła do sejmu krajowego, w późniejszym czasie został członkiem komitetu miasta Pragi, a dalej członkiem rady miejskiej; w obu tych ciałach pracował gorliwie nad podniesiem rodzinnego miasta, zwłaszcza wielce był czynnym we wszelkich przedsięwzięciach huma-

nitarnych. Dokoła niego zgromadziło się liczne grono ludzi, podzielających jego przekonania, zwłaszcza kobiet, z czego powstał tz. „Klub amerykański dam“, który powołał Czeszki do podniesienia żywota i działalności na polu dobroczynnem i narodowem. Zbiory do muzeum przemysłowego mnożyły się z dniem każdym, rosły darami pojedyńczych osób, przyłączały się do nich zdobycze podróżników czeskich: Holuba, Feistmantla, Korzenskiego, Vraza, Szteckera, Durdik i innych. Sam Naprstek nabywał wszystko przydatne do muzeum, gdzie tylko nadarzyła się sposobność, nadto twonzył bogatą bibliotekę na urzytek klubu damskiego i ludzi, chcących korzystać z jego zbiorów. Ambicją jego było kupować każdą cenniejszą książkę czeską, aby dać przykład popierania litaratury ojczystej. Dla zbiorów swych wybudował wielki dom, który wraz z niemi oddawał na własność narodu. W domu jego bywali wybitni działacze czescy, a i obcy byli tam gościnnie przyjmowani. Oczy otwierały się w jego domu każdemu na pilną, mrówczą pracę czeską i na rozszerzenie widnokręgów umysłowych pokolenia, kształcącego się pod wpływem W. Naprstka. Sam on, człowiek wielkiej wiedzy, pracy i zasługi, zachował prostotę i dobroduszność staromieszczańską.

Niewolnictwo w Indjach.

Nie ulega wątpliwości, iż do rzędu poważnych okażeń dla narodu zwłaszcza takiego, który chlubi się, iż bardzo dużo uczynił w celu poskromienia niewolnictwa, należy zarzut, iż prowadzi handel ludźmi. A jednak inaczej nie można nazwać gromadnej wysyłki indyjskich kulisów, przypomina ona bowiem najlepsze czasy niewolnictwa. Lecz cała ta czynność odbywała się tak pozornie, a ci, którzy w niej biorą udział mają tyle powodów do milczenia, że tylko z niesłychanemi trudnościami i narażeniem na osobite niebezpieczeństwo można zasięgnąć o niej pewniejszych wieści. Ładowanie ludzi na okręty a przedtem transport kolejami jest tak wybornie urządzony, iż nawet, spotykając tego rodzaju pociąg lub widząc go, gdy przybywa do kresu podróży lądowej, co zresztą bardzo rzadko się zdarza, gdyż pociągi te zazwyczaj kursują tylko nocą, i wówczas nawet z trudnością możemy wytworzyć sobie pojęcie o tem, co się dzieje w naszych czasach. Wszystko odbywa się zadziwiająco spokojnie, a biedni, zmęczeni, głodni i spragnieni kulisi są tak strzeżeni i przygnębieni iż żadne zakłócenie spokoju wydarzyć się nie może. Pod Kalkutą złożono tak zwane depot dla emigrantów, więcej przypominające stajnię, niż schronienie dla ludzi.

W roku zeszłym wysyłką emigrantów zajmowało się się siedm agentur angielskich i jedna holenderska.

Największą część wychodźców udaje się do Huyany, angielskiej, Trinidad, Santa, Lucia, Jamajki, Mauiitius, Natalu, Fidzi i Surinam. Wzmiankowani agecni muszą być rządowi znani osobiście i nadto złożyć wysoką kaucję, gdyż rząd od każdego emigranta pobiera pewien procent.

Nie potrzeba dodawać, iż kulisów namawiają wszelkiemi sposobami, a często zmuszają siłą, by przyjmowali propozycję agentów. Gdy to się raz stanie a człowiek, który zgodził się emigrować, zdradza opór, zmuszają go za pomocą policji.

Agenci posiadają wszędzie swych subagentów i pełnomocników, którzy z wielką zręcznością wyzyskują każdą okoliczność, by kulisa za jego zgodą wpisać na listę emigracyjną, co przy ciemności tego ludu udaje się dość łatwo. Zdarza się też często, iż zapisany na listę niema pojęcia jakie zaciągnął na siebie obowiązki a tembardziej, gdzie go pewiozą i czego będą żądać.

To też troskliwie ukrywają przed nimi, jak długo będzie trwała podróż i w jakich odbywać się będzie warunkach.

Gwoli oszczędności do przewozu kulisy używają statków żaglowych, których w roku zeszłym kursowało 17, nadto 3 parowce. Z samej Kalkuty wyemigrowało w tymże roku 1,647 wychodźców, czyli na każdy okręt transportowy przypadało po 533 pasażerów.

Większość kulisów, oprócz naczynia na wodę i paru łachmanów, nie posiada nic i tylko przezorniejsi z nich i zamożniejsi biorą z sobą w drogę maty do spania.

Można sobie więc wystawić, co znoszą podczas podróży morskiej, która okrętem żaglowym trwa od 95 do 105 dni.

Niedawno piszący te słowa miał sposobność spotkać się z oddziałem emigrantów, z którymi nie wszystko odbywało się tak gładko, jakby to rząd pragnął.. Partja ta złożona z 400 dobrowolnych wychodźców, przybyła do Hovay, leżącego po drugiej stronie Hugli naprzeciwko Kalkutty. Widok tych na pół nagich, wychudłych i wystraszonych ludzi był godnym litości. Pochodzili z prowincji północno wschodnich i znaczna liczba robotników z tych samych prowincji pracujących przy kolei wschodnio-indyjskiej, przybyła, by powitać znajomych i krewnych, o ile tacyby się znaleźli. Wychodźcy na widok swych spółziomków zaczęli głośno płakać, żalić i zaklinać ich by pomogli im oswobodzić się. Opowiadali przytem, iż siłą uprowadzono ich z rodzinnego kraju i zmuszono do emigracji. Powstało zamieszanie, w którem kilkudziesięciu kulisów zdołało umknąć.

Prędko nadbiegły jednak posiłki policji i porządek przywrócono, trzeba było jednak widzieć, z jakiem okrucieństwem znęcano się nad biedakami. Zabrano ich niezwłocznie z portu i zapakowano na okręt, a przy tej sposobności paru nieposłusznych zatopiono w morzu.

Żadna z gazet indyjskich nie miała odwagi wspomnieć o całem zdarzeniu.